



## Janina Kozłowska

część I z II

Sygnatura notacji: **N1390**  
Data urodzenia: **28.03.1938 r.**  
Data nagrania: **11.10.2019 r.**  
Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**  
Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**  
Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 58 min**  
Format nagrania: **video**  
Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Nazywam się Janina Kozłowska, urodziłam się 28 marca 1938 roku w Warszawie na ulicy Poznańskiej 14 m. 47, bo takie mieszkanie wówczas zajmowali moi rodzice, ale dokładnie rzecz biorąc, to urodziłam się w szpitaliku pod wezwaniem św. Józefa na ulicy Hożej. Jeszcze po wojnie, pamiętam ten budynek, który został później zastawiony dużym budynkiem. Było to, krata bardzo ozdobna, parkan, półkole i budynek szpitala. No, ale później oczywiście cały czas Poznańska 14 m. 47. Moi rodzice: Franciszek i Aurelia, byli kupcami, mieli... byli właścicielami sklepu spożywczego na ulicy Nowogrodzkiej 37. I te dwa adresy: Poznańska 14 i Nowogrodzka 37 to są dla mojego dzieciństwa, tego wczesnego, bardzo ważne, z nim są związane moje wspomnienia. Nowogrodzka 37 to tylko do Powstania, bo później, może o czym później opowiem, zniszczona kamienica, stracili rodzice wszystko. Dwoje rodzeństwa: mój brat Jędrzek, jak zawsze na niego mówiliśmy, urodził się w trzydziestym szóstym roku, w listopadzie, natomiast Tomek urodził się w roku czterdziestym pierwszym, a więc już w czasie okupacji. Z opowiadań rodziców wiem, że w trzydziestym dziewiątym roku moja matka, jak wybuchła wojna, przeżyła chwile trudne, dlatego że ojciec był w wojsku. Poszedł, bo była mobilizacja i jak wszyscy mężczyźni... On miał wtedy chyba, niech sobie policzę – dziewięćset piąty – no to miał trzydzieści pięć lat i był wcielony do wojska. I ojca w czasie wybuchu wojny światowej nie było z nami, matka była sama z dwojgiem dzieci, a ojciec, jak się później okazało, z wojskiem polskim znalazł się pod Stryjem – to jest taka miejscowość na Ukrainie. I stamtąd wrócił. Pomógł mu jakiś chłop: czy ukraiński, czy Polak – Polaków było tam wtedy wielu. Dość, że musiał zdjąć mundur, oddać mu broń – zakopali to. To są opowieści mojego ojca. Natomiast dostał jakieś tam ubranie, dzięki któremu mógł z powrotem powrócić do Warszawy. Czas okupacji to dla mnie czas, w gruncie rzeczy, strachu. Myśmy się bali nawet widoku Niemców. Dziwna sprawa, ja nigdy nie mówię o wojsku niemieckim albo żołnierzach niemieckich – dla mnie to był po prostu Niemiec, innych

Niemców nie znaleźliśmy i wiadomo było, że jak szli, to byli Niemcy. Pamiętam, kiedyś była taka, taki przemarsz przez Marszałkowską i heilowali. No, stuk tych buciorów pamiętam. Co było takiego... W miarę nasi rodzice starali nam się stworzyć, no w miarę możliwe dzieciństwo, w związku z tym, mimo że była okupacja, wynajmowali letnisko i wyjeżdżaliśmy poza Warszawę. Nie mówiło się wtedy: „wczasy”, „urlop” – wyjeżdżało się na letnisko. Tym letniskiem to w czterdziestym trzecim, to pamiętam, to był, to było Michalin, linia otwocka, a w czterdziestym czwartym to był Józefów. I tam spędzaliśmy lato. Pod koniec lipca czterdziestego czwartego roku na to letnisko przyjechał mój ojciec i mówi do matki: „Słuchaj, coś się dzieje w mieście, coś jest niespokojnie. Zbierajmy się i wracajcie do Warszawy”. Tak też zrobiliśmy. Więc dla mnie to Powstanie Warszawskie, to z takim kilkudniowym wyprzedzeniem było niemalże. A dlaczego. Otóż... Jechaliśmy oczywiście kolejką elektryczną, która kursowała między Otwockiem a Warszawą i zwykle bez żadnych problemów. Tym razem pociąg został zatrzymany w Falenicy i skierowany na boczny tor, i zobaczyliśmy wówczas transporty Niemców w kierunku Warszawy. Po przejściu tego transportu dopiero nasz pociąg został puszczony na główny tor i wróciliśmy do Warszawy. Warszawa... Wybuch Powstania do pewnego stopnia był zaskoczeniem dla moich rodziców. Nie wiedzieliśmy... Nie znali szczegółów, nie wiedzieli, co i jak będzie, ale wiedzieli, że coś, że coś się szykuje. Efektem tego było to, że ojciec został w sklepie na Nowogrodzkiej 37, a my z mamą na Poznańskiej 14 m. 47. Otóż była to, był to, było to mieszkanie w drugim podwórku na pierwszym piętrze, z balkonem. W tej kamienicy doskonale pamiętam rozkład i to może nie sprzed wojny, ale z okresu tuż powojennego, gdzie te lokale były dzielone, ale nie nasz, bo myśmy mieszkali – chyba to była jedyna oficyna w tym budynku, gdzie był dwa pokoje z kuchnią, chyba pięćdziesiąt pięć metrów, wszystko w amfiladzie, więc to było jedno z takich mniej luksusowych jak na warunki tamtej kamienicy, mieszkanie. Pierwsze dni zapamiętałam jako niezwykle słoneczne dni. Siadaliśmy z moim starszym bratem na balkonie, nieraz patrzyliśmy w niebo, ale słyszeliśmy samoloty, które przelatywały. W pierwszym okresie były to dosyć odległe odgłosy, ale – i odgłosy bombardowania również – ale myśmy już jako dzieci odróżniali, że leci bombowiec, że leci samolot, który spuszcza bomby zapalające. Ja nie wiem, jak ten samolot się nazywał, po dźwięku te dwa rodzaje samolotów rozpoznawaliśmy. Później, z tych wrażeń słuchowych dołączyło się, dołączyły się, zgrzyt tej „szafy”, chociaż muszę powiedzieć, że różnie to określano. W niektórych dzielnicach Warszawy, to później dowiedziałam się, określano to również jako „krowy”. Otóż dźwięk tego, tej, tego nakręcania tej maszyny i dopiero później wybuchy. Czuliśmy się wówczas w miarę bezpiecznie na tym drugim podwórku, bo odgłosy czy strzelaniny, odgłosy bombardowania odległe – nie czuliśmy jeszcze tej grozy, poza tym nie wiedzieliśmy, ile to będzie trwało. Matka z niecierpliwością oczekiwała ojca. Po dwóch tygodniach ojciec pojawił się na Poznańskiej. Było to w okresie, ja myślę, że to było około dwóch tygodni, bo jeszcze były ciepłe dni. Na balkonie kwitł oleander. To śmieszna może sprawa, ale on nigdy tak pięknie nie kwitł jak właśnie w ten sierpień czterdziestego czwartego, co mnie się zapamiętało. Więc chyba, chyba po dwóch tygodniach ojciec do nas dołączył. Opowiadał, że jest, że przejścia przez... Przeszedł przez piwnice. Myślę, że z tej Nowogrodzkiej musiał i częściowo barykadami, przejść przez barykady, ale w każdym bądź razie przeszedł przez piwnice. Na gmachu... Gmach Poczty Głównej. Myśmy wtedy to określali jako gmach róg Nowogrodzkiej i Poznańskiej, gmach Poczty Głównej – tak żeśmy określali, że to była Poczta Główna. Była całkowicie opanowana przez Niemców i to był ten, to miejsce, skąd groziło ciągle, ciągle niebezpieczeństwo. Zanim ojciec jeszcze wrócił, pewnego dnia matka zabrała nas na nabożeństwo, na mszę. Msza ta była odprawiana w dużym apartamencie pierwszego, wejście z pierwszej bramy i okna od ulicy. Zapamiętałam to, bo śpiewane były dwie pieśni. No oczywiście suplikacje „Święty Boże, święty, mocny”, który do tej pory daje mi pewne uczucie zagrożenia, nie wiem dlaczego, ale mnie się to kojarzy z tym, z tą mszą świętą. I wtedy po raz

pierwszy usłyszałam „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej”, ten słynny, jak później się doczytałam, chorągwie Ujejskiego. Była to tylko jedna msza. W zamierzeniu były dalsze, ale Niemcy namierzali z Poczty Głównej. Chyba to było na drugim lub trzecim piętrze, kamienica była wysoka. Zlokalizowali, zobaczyli, poszedł ostrzał, więc w tym lokalu już więcej msza się nie odprawiała. Czy były inne? Nie pamiętam. Po powrocie ojca jeszcze było coś do jedzenia. Ojciec powiedział matce, że tam straszne bombardowanie poszło, że już, że zbombardowane, że wszystko co było w sklepie, w zapasach, zostawił dla Powstańców, żeby tam mogli to, co się dało, jeszcze wygrzebać, wziąć. Ale były problemy z wodą, z jedzeniem, no i ze światłem. Ja nie umiem powiedzieć, jak długo i czy były czynne wodociągi, i czy mieliśmy wodę w kranie. Natomiast przemarsz po wodę pitną, no to był obarczony bardzo dużym ryzykiem. Mianowicie, po wodę chodziło się na Poznańską 13. Poznańska 13 to była jedna z takich brzydszych kamienic na, na odcinku między Hożą a Wilczą, ale może dzięki temu, że tam było, były, było gorsze wyposażenie – prawdopodobnie nie było tam kanalizacji tylko wodociągi doprowadzone – była studnia artezyjska. Żeby tam dojść, trzeba było przejść przez pierwsze podwórko, przez bramę i przez barykadę. Tak jak już mówiłam, Niemcy dobrze patrzyli, więc było to duże ryzyko, żeby przynieść kubek wody z Poznańskiej 13 i do tego. Siedząc na tym balkonie, pewnego razu byliśmy świadkiem tragicznej historii. Szedł człowiek z kubkiem wody – i widzę to jak dziś: w pewnym momencie ten człowiek się przewrócił, wiadro się wywróciło, a my z krzykiem do matki: „Mamusiu! Mamusiu! Temu panu wylała się woda!”. Wie pan... No właśnie. Co to była wówczas dla nas woda, że myśmy zwrócili uwagę nie na to, że człowiek się przewrócił, tylko że jemu wylała się woda. To była cena tej wody. Co się stało z tym człowiekiem: czy on zmarł, czy był tylko raniony – ja tego nie wiem, w każdym bądź razie taki fakt miał miejsce. Później ludzie mówili... I wtedy mama ograniczyła nasze w ogóle wyjście z mieszkania, przebywanie na balkonie, bo okazało się, że – wtedy po raz pierwszy usłyszałam to sformułowanie: „gołębiarze”. Więc podobno byli ludzie, którzy na dachach czatowali i jednak pojedyncze, pojedynczych ludzi, strzelali po prostu do pojedynczych... Kto to był? Pojęcia zielonego nie mam. Zostało sformułowanie: „gołębiarze”. Z tego balkonu obserwowaliśmy również inną rzecz, to było też chyba już w drugiej, w drugiej połowie sierpnia musiało być. Pewnego razu z klatki schodowej, która była położona vis-à-vis naszego balkonu, na którym myśmy oczywiście siedzieli, wyszły białe zjawy, więc znów krzyk do matki: „Mamo! Mamo! Z klatki schodowej wychodzą duchy!”. Okazało się, że to byli ludzie, którzy zostali zasypani i widocznie musiały być już wtedy przejścia, że ci ludzie wyszli przez nasze, naszą piwnicę, klatka schodowa, od stóp do głów osypani tynkiem. Więc cóż to dla dzieci mogło być – no duchy. Mama nam wytłumaczyła co i jak. To były takie moje wspomnienia balkonowe. Było też takie wspomnienie, że kiedyś wybraliśmy się, pewnie cichcem matce się tam wykradliśmy, na trzecie podwórko. To trzecie podwórko to było właściwie pół podwórka, ponieważ stanowiło to jedno podwórze z kamienicą, na ulicy Marszałkowskiej. Przegrodzone to było murem. I wtedy zobaczyliśmy, że w tym murze jest przejście zrobione. Tam po raz pierwszy i chyba już ostatni zobaczyłam butelkę, która wzbudziła nasze dziecięce zainteresowanie. Była to zwykła butelka, ale od góry do dołu równa taka, pokryta pomarańczowym jakimś, no można nazwać, tworzywem chropowatym. Dowiedzieliśmy się, że to jest butelka zapalająca. Tak wtedy zobaczyłam chyba pierwszą broń, taką broń powstańczą, że to tak wyglądało. Z tego okresu przypominam sobie, że moja mama bardzo źle znosiła schodzenie do piwnicy. Ponieważ było już przejście międzypiwniczne, między Poznańską 14 a Poznańską 16 można było się dostać... Matka należała, była zapisana do biblioteki, tam była wypożyczalnia książek na Poznańskiej 16. Więc oczywiście w czasie Powstania wszystko stało otworem. Moja mama wymykała się, żeby sobie wziąć kolejną książkę. Nieraz, jak wszyscy – w ciągu dnia, bo oczywiście w ciągu nocy nie, a w ciągu dnia nieraz nie schodziła z nami do piwnicy, zamykała się w łazience, która była z ogromnym oknem

u góry, więc mogła sobie – było tam, dochodziło tam światło, bo jak mówię, to było mieszkanie w amfiladzie, więc nie, nie żaden przedpokój. Nie było czegoś takiego, tylko w amfiladzie kuchnia, pierwszy pokój – stołowy, jak żeśmy nazywali i sypialny. I tam czytała. W ten sposób, było to chyba w czasie tych ataków „szaf”, bo to było, w ciągu dnia te „szafy” nastawiali, z tego, co ja... Samoloty, w różnych porach dnia bombardowanie miało miejsce. I to była taka, taka ucieczka mojej matki w książkę przed tą grozą, a my z ojcem schodziliśmy do, do piwnicy. Co było z oświetleniem. Otóż myśmy w naszym mieszkaniu nie mieli zapasów świec, ale jeszcze z okresu okupacji, ponieważ były wtedy okresowe wyłączenia prądu, była karbidówka. Była to lampka z karbidem, nawet ładny żyrandolik na to, ale ona była niebezpieczna, potrafiła nieraz wybuchnąć. Karbidówka wydzielala specyficzny zapach. W okresie okupacji było to, była używana tylko w okresach wyłączenia światła. Z okresu okupacji, wracając jeszcze, zapamiętałam rolety. Były to ceratowe rolety, od strony pokoju białe, od strony podwórka czarne, ceratowe takie, które trzeba było wieczorem spuszczać. Sprawdzał to nasz dozorca, Grabowski, taka była jego, taka była jego powinność. Był nakaz spuszczenia rolet i on sprawdzał, bo chodził po podwórkach, czy wszędzie rolety są szczelnie opuszczone. Czy w czasie Powstania? Chyba żeśmy tego już nie robili, nie było potrzeby i to tylko taki rekwizyt z okresu okupacji. Byłam świadkiem, jako dziecko, pewnej historii, która być może do dzisiaj tkwi w Polakach. Ja nie wiem, skąd się to wszystko bierze. Otóż nad nami był pan, no nazwijmy go „pan K”, a na parterze, po przeciwnej stronie, w tej samej klatce schodowej mieszkał „pan J”. Pewnego razu wyszliśmy tam na schodki naszej klatki schodowej i patrzymy. Pan „K” kłóci się z panem „J”. Pan „J” wymownie palcem wskazuje, że stamtąd przyjdzie wyzwolenie. Na to pan „K” rzucił się na niego. Panowie złapali się za koszule i zaczęli się szarpać. No ludzie ich tam rozdzielili. Wie pan, no to była w całym moim życiu pierwsza kłótnia, no nazwijmy to – ideologiczna. Okazało się, że pan „J” był podobno komunizującym adwokatem przedwojennym. Tacy byli. Pan „K” natomiast był inżynierem i pochodził z poznańskiego. Jakie były dalsze losy: otóż pan „K” nie wytrzymał Powstania, przebywania w kamienicy, wziął laskę, żonę pod pachę – znał niemiecki – powiesił na lasce czy poszewkę białą, no dość, że... Czy coś... Czy chustkę dużą, białą i opuścił kamienicę. Było to mniej więcej w połowie Powstania. Później się dowiedziałam, że podobno Niemcy rozrzucaли ulotki namawiające ludność cywilną do wyjścia. Ludzie im nie wierzyli. Po tym wszystkim co wyprawiali w czasie okupacji, kto by tam uwierzył, że Niemiec przepuści i bezkarnie. Ten pan uwierzył, ale on znał niemiecki, więc mógł się z nimi dogadać. Natomiast historia pana „J” była tragiczna, dlatego że on miał dwie córki i syna. Przeżyli wszyscy w naszej kamienicy Powstanie Warszawskie, natomiast jedyny syn pana „J” poszedł do armii, poszedł do armii Świerczewskiego – no, na bandy UPA i tam zginął. Pan Jurecki śmierci swojego syna nie przeżył, wkrótce umarł. No to taka mała dygresja, bo wie pan, widok dwóch mężczyzn, którego, którym myśmy zawsze dygali, kłaniali się: „Dzień dobry” – złapali się i kłócili się. Zaczęły się dłuższe dni i pochmurne. Razem – o, czego nie powiedziałam – razem z moim ojcem, z Nowogrodzkiej, przyszło dużo znajomych. Rodzice mieli sklep, więc znajomych mieli dużo. Przyszła pani Ryczanowska, przyszli państwo Łzyccy. Innych nie pamiętam. Wszyscy rozlokowani zostali w naszym mieszkaniu. Co się robiło: wszystkie materace, które były na łózkach, na tapczanie, były rozkładane na podłodze, no i pokodem ludzie tam – no, mieli gdzie spać. Zapamiętała mi się noc, to już na pewno musiało być we wrześniu, bo odgłosy samolotów były coraz bliższe, coraz bardziej upiorne, zwłaszcza bombowców ciężkich: uuu, uuu, uuu, coraz bliższy, a później: gruch! – bombardowanie. Więc zbliżały się naloty do naszego okręgu. Było chyba coś takiego, jak jakaś obrona cywilna, zorganizowana, bo w podwórzu była zawieszona żelazna sztaba. Były wydzielone osoby do dyżurów, żeby w razie zbliżającego się nalotu walić w tę żelazną sztabę i ludzi, spowodować, żeby ludzie uciekali do piwnicy. Zapamiętałam tę sztabę, ponieważ, no nie wiem, może to nie ma znaczenia, ale to też... Nasza służąca

była kiedyś, pamiętam – Zosia Kędziołek – na dyżur. Była to nasza służąca. Tak się wówczas o... To teraz to „pomoc domowa” i tak dalej, a wtedy się tak mówiło, bez uchybienia dla kogokolwiek. Zosia Kędziołek na dyżur i waliła w tę sztabę również. Ale pewnej nocy zbudziłyśmy się nieoczekiwanie. Matka zaczęła krzyżeć: „Dzieciaczki, uciekajmy!”. Ja zobaczyłam, że cała nasza, całe nasze podwórko jest wypełnione ogniem. To był po prostu słup ognia. Zdążyłyśmy wówczas do piwnicy. Było straszne bombardowanie i już w naszych, w naszych najbliższych okolicach. Po powrocie – nalot przeszedł – wróciliśmy do mieszkania. W czasie tego nalotu wypadły szyby z okien. Materace były powyrywane przez odłamki. To były... Pamiętam, jak mama patrzyła na tę, mówiła: „No gdybyśmy nie zdążyli uciec, to już by było po nas”. Były również drewniane parapety w, powyrywane również kawałki parapetów. I to ten taki straszny nalot, który... Ale drugi był jeszcze gorszy. Przerazenie ludzi było coraz większe, no ale głód dokuczał. Myślę, że to już, jeszcze wcześniej, po powrocie ojca, nie było co jeść i ktoś wpadł na pomysł, żeby wybrać się po jęczmień do Haberbuscha, do browaru. Mnie się zapamiętała, że ojciec mówił: ulica Krochmalna – myślę, że to były okolice Krochmalnej. Ja nie wiem i nie umiem zlokalizować tego browaru Haberbuscha. W każdym bądź razie kilku mężczyzn poszło na tę wyprawę, no pewnie też niebezpieczną. Na pewno już były, była komunikacja przez piwnice. Wrócili z worami tego jęczmienia. Na młynku do kawy, do mielenia kawy, małym, ręcznym – matka robiła z tego kaszę i tak żeśmy się żywili tą kaszą, bo już nie było wiele do jedzenia, jeżeli w ogóle cokolwiek. Więc był problem oświetlenia. Karbid się też skończył. Były ciemności wieczorem, nikt nie palił już żadnego światła. Schodziliśmy do piwnic i tam był, były świece. Każdy z lokatorów miał swoją piwnicę, swoją taką jakby komórkę, gdzie był węgiel. Ale wzdłuż tych wszystkich komórek był korytarz zapelniony, uchodźców było dużo, którzy się schronili w tej kamienicy, która jeszcze mimo tego bombardowania... Wtedy ta bomba, okazało się, trafiła w sam środek podwórka, nie uszkodziła żadnej z oficyn, tylko w środek podwórka. Nie zrobiła nawet zbyt wielkiej wyrwy, bo była to bomba, tak podejrzewam, zapalająca, na szczęście dla nas wszystkich nieskuteczna. Po tej... Ale jeszcze w związku z tą... Mieleniem kaszy, była no, pewna, do pewnego stopnia i humorystyczna historia. Jak mówiłam, pan „K” no nie był, nie cieszył, nie był – no wpadł w panikę. No nie... Bał się chyba więcej niż wszyscy inni, bo co matka miała tę kaszę, to słyszeliśmy, że z drugiego piętra schody dudnią. To były schody drewniane, więc słychać było. W końcu przy kolejnym takim epizodzie ktoś wali w nasze drzwi. Matka otwiera, a to pan „K” i mówi, przepraszam za słowo: „Pani Kozłowska, do jasnej cholery! Pani kaszę mieli, a ja myślę, że to nastawiają »szafę«!”. Widzi pan, bo to był taki no, do pewnego stopnia, no taki czarny humor tego okresu. Później coraz więcej czasu spędzaliśmy w piwnicy. Pewnego razu ogłoszony był alarm i właśnie przez tę sztabę, wszyscy uciekli do piwnicy. To był nalot długi i straszny. To długo trwało. Walące się mury... Słyszeliśmy już nie tylko, że bomby lecą, ale efekt tego bombardowania. W pewnym momencie kamienica się zakotłowała. To było jak trzęsienie ziemi, chociaż ja nie wiem, ale... Poptoch wśród ludzi. Tę noc zapamiętałam w sposób wyjątkowy, dlatego że jak przeszły samoloty, ucichł, wszystko – nagle zrobiła się cisza. Mężczyźni rzucili się do wyjścia z piwnicy. Było przerażenie, że nas zasypało. Na szczęście okazało się, że nie, że drzwi się od piwnicy otworzyły, mogliśmy wyjść z piwnicy. Okazało się, że to była bomba, która spadła na kamienicę pod... Na... W tę kamienicę – to tak dowiedzieliśmy się później – na rogu Poznańskiej i Hożej. Ta, przepiękna zresztą kamienica, ale z paskudnym podwórkiem: wąskim, ciemno. W każdym bądź razie tam ta spadła bomba, w środek podwórka również. Podobno wiele, wielu ludzi tam zginęło. Wśród ludzi, którzy mieszkali w naszym mieszkaniu, też był człowiek, który powiedział: „Pani Kozłowska, ta nasza... Ta wasza kamienica to nie jest zbyt taka bezpieczna. Ja pójdę na Hożę, mam tam znajomego – no wszystko odbywało się to oczywiście przez piwnice – i tam solidniej wygląda ta kamienica”. Proszę pana: i on w czasie tego nalotu, on zginął, poniósł śmierć. Z Poznańskiej 14

na Hożą poszedł po śmierć. Tak jak myśmy tam byli. Później było coraz gorzej. Dni... Dużo czasu spędzaliśmy w piwnicach. Do tej pory, a i tuż po wojnie, jak musieliśmy iść do piwnicy po węgiel, ze świeczką, zapamiętaliśmy pewien specyficzny zapach tej piwnicy: węgla, sadzy, kopcącej się świeczki. W końcu zaczęły nas dochodzić, to znaczy, moich rodziców i to znam z opowieści, że ludzie są wysiedlani z kamienic, jeszcze przed tym i kierowani do Pruszkowa. I tu były dwie straszne informacje. No, jedna była właściwie straszna. Bo pierwsza to była taka: ludzie nie zabierajcie ze sobą kosztowności, bo może kosztować was to życie, napadają. Kto? Jak? No niestety musieliśmy się, przekonaliśmy się później, co to byli za rabusie. I druga rzecz, dla moich rodziców gorsza: w Pruszkowie rozdzielają mężczyzn od kobiet i dzieci. Jak zbliżał się już, bo wiedzieliśmy, że będzie, że będzie akt kapitulacji. Nie wiedzieliśmy dokładnie kiedy, ale rodzice się jak dowiedzieli, to szybko przygotowali dla nas małe teczki. Ojciec zrobił szelki, na których, które spowodowały, że te teczki były rodzajem tornistra i tam matka umieściła zmianę bielizny i kartkę: imię, nazwisko, data urodzenia, nasz ostatni adres, swoje namiary. Dostał taki, taką teczuszkę, jak to myśmy nazywali, mój brat starszy, Jędrzek i ja. Tomkowi włożono w wózek, bo Tomek miał wtedy trzy lata i jeszcze był wożony w wózku. No, trzylatek, on – no tak to było. I szykowaliśmy się do tego wyjścia, do tego Pruszkowa. W przeddzień już dużo ludzi wyszło. W przeddzień wyjścia, bo myśmy postanowili – to znaczy: „myśmy” – rodzice postanowili do ostatniej chwili tkwić na miejscu. Matka wzięła nas, mojego starszego brata i mnie, i mówi: „Dzieci, a teraz pójdziemy do kościoła podziękować Panu Bogu, że żyjemy”. Proszę pana, nasz kościół parafialny, który teraz to nazywa się parafia św. Barbary, kościół pod wezwaniem... Dla nas to była parafia „na Koszykach” – nie wiem, czy ktoś, pewnie starzy warszawiaczy wiedzą – był kościół „na Koszykach”. Jak otworzyła się brama, to pamiętam moją zgrozę na widok tego, co zobaczyłam. Ale moja matka była dzielną kobietą, wzięła nas za ręce i przez te gruzy poprowadziła aż do Nowogrodzkiej. Dlaczego aż do Nowogrodzkiej, dlaczego nie skręciła we Wspólną lub w Hożą, żeby dojść – nie wiem. Być może chciała popatrzeć, spojrzeć w głąb, co zostało ze sklepu, w tę ruinę. Ale przeżyłam wtedy również chwile straszliwego strachu, ponieważ na stopniach Poczty Głównej, powyżej – tam są stopnie do tej pory są, zresztą Poczta Główna do pierwszego piętra zachowała tylko, nawet kolor przedwojennego, przedwojennej poczty – stał Niemiec w rozkroku, z karabinem, tak. Matka ścisnęła nas za rękę i tylko szepnęła: „Nie bójcie się”. Doszliśmy do kościoła. Stąd wiem, że kościół pod wezwaniem św. Piotra i Pawła w październiku, 4 października był cały, nie był ruszony. Stąd wiem, bo myśmy tam poszli. Wróciliśmy. W nocy zaczął padać deszcz, z czwartego na piąty, tak sobie przypominałam, bo rano mama powiedziała: „Warszawa po nas płacze”. Czy my jako dzieci płakaliśmy w czasie Powstania? Ja sobie nie przypominam. Myślę, że strach i przerażenie było dominującym uczuciem, które nas ogarniało, myśmy nie płakali. Natomiast popłakał się mój ojciec. Otóż mój ojciec był hodowcą kanarków, miał etażerkę z kanarkami. Kanarki były to jedyne istoty – no nie istoty... No dla nas może i istoty, które nie zaznały głodu, zawsze był kanar, który ojciec dawał, sypał kanarkom do specjalnych tych. I ojciec się zastanawiał, czy kanarki wypuścić z tych klatek, czy też zostawić zamknięte. W końcu zdecydował, popłakał się biedak i wypuścił kanarki z klatek. Było to dla niego duże przeżycie. Ale jak pamiętam Warszawę okupacyjną, kanarek to był ptaszek, który był hodowany w bardzo wielu warszawskich kamienicach, bo klatka z kanarkiem była w wielu oknach warszawskich kamienic. No to takie moje te... No i wyszliśmy i po raz drugi przeszliśmy przez Poznańską. Ale jak wyglądała nasza droga do Pruszkowa, to ja nie pamiętam. Pamiętam już dalszy odcinek tej drogi, mianowicie: szosa wysadzana drzewami, pole i zapach cebuli – dojrzewająca, wolska cebula. Pani Ryczanowska, która była bardzo... No i oczywiście byliśmy prowadzeni w kordonie, to nie było tak, żeśmy tam sobie tłumem szli. Po obydwu stronach szli Niemcy z psami, więc żeby zboczyć na pole i wyrwać cebulę, to było naprawdę aktem odwagi. No pani Rycza-

nowska się odważyła i przyniosła ze trzy cebule, żeby przynajmniej pogryźć tego. Wieczorem dotarliśmy do Pruszkowa. Weszliśmy w halę, z której pamiętam perony i zagłębienia między. To jest tak, jak na stacji kolejowej: peron i tor kolejowy, znacznie poniżej. Perony były zavalone już ludźmi, tam się miejsce dla nas nie znalazło. Musieliśmy zeskoczyć – zeskoczyć – ojciec zeskoczył i po kolei nas brat. I ułożyliśmy się w tym, w tej niższej części, w tym Pruszkowie, w tej ogromnej hali. Później dowiedziałam się, że to, dlaczego tak to wyglądało, że to były Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego, ale to dowiedziałam się już później, nie w momencie, kiedy tam się znaleźliśmy. Następnego dnia do transportu, czyli do wagonów. Było przejście, w przejściu stał Niemiec, no, a my w piątkę: dzieciaki, dwoje za rękę, matka, Tomek w wózku – jeszcze wówczas tego wózka się nie pozbyliśmy, to znaczy, rodzice się nie pozbyli. Jeszcze Tomek był... I co robi moja matka: rzuca się jak długa i całuje buty Niemcu, żeby nas nie rozdzielał. Nie wiem, czy odezwała się resztką człowieczeństwa, czy poczuł się ważny, że może dysponować naszym życiem – on nas, całą piątkę, przepuścił do jednego transportu. Przecież myśmy nie wiedzieli, gdzie ten transport, dokąd, ale to, że on nas nie rozdzielił, było już pewnym, pewną dozą jakiejś radości, jakiegoś uspokojenia. Załadowano nas do wagonu towarowego i były... Zapamiętałam ten wagon, dlatego że to był nie kryty, tylko wagon towarowy, do połowy tylko, powyżej pewnie były, było, były druty. A były też pociągi... Wagony towarowe z dachem. I właściwie nie wiadomo było co gorsze: czy świeże powietrze, czy ziębnięcie. Ale ścisk był taki, że ludzie nawzajem się grzali i tego zimna nawet nie czuli. Zaczęła popadywać mżawka, ale która ustąpiła. To niewyobrazalny ścisk. Tam człowiek był ściśnięty, przyciśnięty do człowieka. No oczywiście budki strażnicze i tam Niemcy, którzy konwojowali ten cały transport. Jak się odbywał transport – ja nie wiem, ja nie pamiętam, widocznie spałam. Nagle, wśród nocnej ciszy, krzyk, tłum, łoskot: „Ludzie, uciekajcie w pole!”. Otworzono drzwi. Podobno był nalot rosyjski – ja nie wiem, czy wtedy się mówiło: „ruskich” czy: „radzieckich”. Radzieckich chyba nie, chyba ruskich. I Niemcy się przestraszyli i uciekli, bo już mieli wówczas poczucie strachu. Okupant zaczął się bać. I zostawili. No oczywiście maszynista z pomocnikiem, bo to zawsze były, ci prowadzili ten parowóz, otworzyli pierwszy wagon, a ludzie, mężczyźni zwłaszcza, do kolejnych i pootwierali. Uciekliśmy. Jak uciekaliśmy? Jak przez te pola? Pojęcia nie mam. Pierwsze, co, jak już, co zapamiętałam, to pomieszczenie z lamperią, taką farbą olejną, szaro-zieloną. I okazało się, że znaleźliśmy się w przytułku w Skawinie, więc prawdopodobnie nasz transport był kierowany do Oświęcimia. I dzięki temu nalotowi nasz transport, uciekł, gdzie kto mógł, to się chował. Rodzice postanowili, ponieważ w tamtym okręgu nie mieliśmy nikogo, żadnych znajomych, natomiast ojciec miał rodzinę pod Sochaczewem i w samym Sochaczewie, postanowili rodzice wracać w kierunku Warszawy. Znaleźliśmy się najpierw w Krakowie. Koczowanie, czekanie na pociąg. Więc pociągi wówczas kursowały, stąd wniosek. Moje dalsze wspomnienie z Krakowa – nie mam żadnych. Znaleźliśmy się na dworcu w Częstochowie. Mama chodziła, prosiła, jakoś nikt nie chciał – tłum, tłum kłębiących się, tak jak i my, którzy bliżej, bliżej Warszawy jednak. No był już to październik, no chcieli jakoś bliżej tej Warszawy. No więcej tam znajomych, więcej możliwości jakiegoś przetrwania dalszego. I podeszła wówczas do matki kilkunastoletnia dziewczyna. Mama, jak to wówczas była mowa... Jak to było wówczas w zwyczaju, mówiła do niej: „panienko”. Ta dziewczyna powiedziała: „Proszę pani, chodźcie, moja mama użyczy wam schronienia”. Matka się ucieszyła. Tylko musimy pojechać. Gdzie? Do Radomska. No, wsiedliśmy w pociąg, jakiś tam pewnie nadjechał i dojechaliśmy do tego Radomska. Wysiedliśmy na dworcu, ta dziewczyna zaczęła nas... Długa jakaś droga, w końcu na jakies odludzie, poza miastem. I znaleźliśmy się w budynku takim parterowym, i tam ogarnęło nas przerażenie. Drewniana podłoga była mokra. Dziewczyna mówi: „Poczekajcie państwo, zaraz mamusia przyjdzie”. I pojawił się – no dla mnie to był monstrum – człowiek o mongolskiej twarzy. Wie pan, ale to było coś straszego. Wyszczерzył zęby

i uśmiechną się w sposób dla mnie drapieżny. Matka szybko zorientowała się, że coś jest nie tak. Powiedziała: „Ja muszę iść, bo muszę iść do apteki, do, po ten...”. Ta dziewczyna próbowała ją zatrzymać, ale matka się wyrwała, popędziła w stronę światła. Wpadła do apteki i mówi: „Proszę pana...” – do tego aptekarza. A on mówi: „Ludzie, gdzie wyście trafili? Przecież to znana »czerwona oberża«. Tak mordują tam ludzi – zwabiają, że już nawet Niemcy mają ochotę ich stąd zabrać. Bo to są Ukraińcy, którzy mordują”. Matka w aptecę, my – tam. Wypadła z tej apteki, zaczęła przeraźliwie krzyżeć: „Franiu! Franiu!”. Ojciec również się szybko zorientował. Ta dziewczyna... Ten człowiek gdzieś zniknął. Nie wiem, może poszedł po kompanów – nie wiem. Myśmy się wyrwali i zaczęliśmy uciekać. Po drodze natknęliśmy się na, to trudno nazwać – kamienicę, ale to jak w tych prowincjonalnych miastach: budynki, no dwupiętrowe, trzypiętrowe, które miały tylko piwnice i to był jeden taki... No bez, bez oficyn, jeden budynek. Wpadliśmy do tej bramy. Wszedł człowiek i mówi: „Chodźcie ludzie, dosyć mam tego też już. Chodźcie”. Zaprowadził nas na pierwsze piętro i przez pewien czas była cisza, ale długo nie trzeba było czekać. Zorientowali się, że myśmy uciekli i gdzie, i zaczęli buszować po klatce schodowej, walić do drzwi. Ten człowiek wówczas powiedział do mojego ojca: „Panie! Bierz pan siekierę! Ja też wezmę. Już im nie daruję tego, ilu oni tutaj... Nie damy im się. Oni na pewno są pijani, damy im radę”. Na szczęście pewnie i byli na tyle pijani, że już im się nie chciało, zdobycz im umknęła, ale może i, może im już się nie chciało. Ale tupot po tej klatce schodowej tych buciorów do tej pory pamiętam. Pamiętam też, że ci ludzie rozesłali nam słomę na podłodze, więc być może, wielu udzielali pomocy. I mówi: „Ale skoro świt musicie uciekać”. Tak też było. Raniutko, jeszcze szarówka, rodzice nas obudzili i uciekliśmy w tym Radomsku na dworzec. Co się stało z tym człowiekiem? Jaki... Nie mieliśmy kontaktu. Przecież nie było możliwości ani wymiany adresów czy czymkolwiek – nie wiem, ale im zawdzięczamy życie. I aptekarzowi, którzy to powiedział i temu człowiekowi, który nas schował. Z Radomska dojechaliśmy do Łowicza. Też nie pamiętam tej podróży. Natomiast z Łowicza do Sochaczewa, ojciec wynajął dorożkę i podróż dorożką to, do Sochaczewa, pamiętam. Tam ulokowali nas pod Sochaczewem na wsi i tam czekaliśmy na zakończenie, na wyzwolenie Warszawy i na moment, kiedy można było wrócić do Warszawy. Tam było bardzo ciężko. Tam było... Wieś też była biedna. I nigdy nie zapomnę Wigilii czterdziestego czwartego roku, gdzie matka na Wigilię upiekła z resztki jakiejś mąki placki, które upiekła na płycie kuchennej. Placki były słone – tak płakała moja matka. Były posolone łzami mojej matki. To sobie tak zapamiętałam. Przetrwaliśmy tam zimę, to znaczy styczeń. Zaczęły wjeżdżać czołgi rosyjskie, Niemcy uciekli. I gdzieś na wiosnę ojciec mówi do mamy: „Słuchaj, ja pojedę do Warszawy”. Jak wówczas można było się do... Wiadomo już było, że Warszawa jest wolna. Jak można było się dostać do Warszawy? No wyszedł ojciec na szosę, jechały transporty żołnierzy, ruskich, no. Więc zabierali, kto tam ten, oczywiście. Ojciec wtedy, nie wiedząc oczywiście o tym, to później ludzie sobie opowiadali już ze śmiechem, został zapytany, która godzina. Więc ojciec, jak to w tamtych czasach bywało, miał zegarek na de-wizce, więc wyciągnął z kieszonki i powiedział. No oczywiście stracił zegarek, było: Dawaj czasy! – i tak się skończyło. Dla ojca nie stanowiło to żadnej sprawy, bo dotarł do Warszawy. Wrócił i mówi do mojej matki: „Słuchaj, ocalała nasza kamienica, ocalało nasze mieszkanie. Mamy gdzie wracać”. I na wiosnę sakum-pakum, na jakimś chłopskim wozie, koniem, wróciliśmy do Warszawy. Obraz był straszny. Wtedy już gruzów na ulicach nie pamiętam, ale pamiętam okaleczoną Warszawę, bo inaczej tego tak nazwać nie potrafię. To było okaleczone miasto. To przecież nie było tak, że te szkielety, te mury... Mało z tym – były takie kamienice, w których na ścianie wisił sedes albo wanna. To był widok taki – na Marszałkowskiej między innymi, nawet wiem, w którym miejscu. Między Hożą a Wilczą była resztką takiego budynku i tam wisiła wanna. Więc widok był straszny, ale już można było przejść ulicami. Oczywiście kościół zmieciony do imentu. Tam... Ten kościół był strasznie zniszczony, to był po prostu do fundamentów...



To był, no plac taki niemalże, usłany gruzem. Została tylko i to też matka zwracała uwagę, w tym ogrodzeniu takim metalowym, tam jest posąg Chrystusa z Magdaleną, która... Kto... I z tym napisem: „Kto jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamieniem”. To ocalało. Ten, ta figura Chrystusa z Magdaleną ocalała, a kościół zrównany z ziemią. Była... Co nas, co nam się zapamiętało też – tam w okolicy... Tu, gdzie teraz jest, są tyły „Romy”, tam stał, stała kaplica Przeździeckich. To był czerwony budynek. Tak mi się zapamiętał, bo to już po Powstaniu, jak wróciliśmy, nieraz zaglądaliśmy. Ten budynek miał mury całe, ale był przedziurawiony aż do... I zaglądaliśmy tam, widzieliśmy trumnę... żeśmy sobie to, uciekali, ale wie pan, trochę, trochę takiej jakiejś, no takiej dziecięcej emocji. I tak się skończyła... Więc nasze Powstanie było pełne grozy, pełne grozy. I ta tułaczka. A później ten straszny w tym Radomsku, ten straszny, ta straszna noc, ten straszny epizod. Że myśmy ocaleli – matka zawsze powtarzała: „Bo poszliśmy do kościoła”. I to było, to było... Moja matka była bardzo wierząca i wcale nie była dewotką. Ona wierzyła w Pana Boga. Gdyby była dewotką, to by szukała więcej mszy i ten, ale ona poszła sama przez zrujnowane miasto, z dwojgiem dzieci, do kościoła.

[00:59:37 KONIEC NAGRANIA]









